

## W Raciborzu – w pobliżu „Strzechy”

Jak słowem zaczarować miasto? Miasto, które ma tyle magii w sobie, miasto, gdzie każda uliczka, każda kamienica posiada własną historię, a z każdego zakątka wyłaniają się cienie mieszkańców osiadłych i żyjących w tym pięknym grodzie przed wiekami, później i teraz. Dzieje miasta fascynowały wielu historyków, archeologów, badaczy zabytków, którzy próbowali obraz dawnego Raciborza przenieść na kartki książek, rozwikłać zagadki przeszłości. Do podziemi miasta dokopali się archeolodzy z całą ekipą naukowców, by odkryć tajemnice lochów prowadzących do zamku piastowskiego. Jan Popiel wyrusza z nimi, snując opowieści o dawnym Raciborzu: historii konwentu dominikanów, cudownym ocaleniu miasta przez św. Marcelego, o mądrych rządach Przemysława, świątobliwej Ofce, tajemniczej głowie Tatara na zamku. Niestrudzenie archiwalne dokumenty penetrują współcześni dziejopisarze miasta: Paweł Newerla, Norbert Mika, Benedykt Motyka.

Z wnikliwością badacza z suchych danych zapisanych na przesiąkniętych stęchlizną dokumentach czy łamiących się pożółkłych kartach kronik sporządzają obraz minionych lat, jakby rozwijając zwoje papirusu, roztaczają przed oczyma naszej wyobraźni panoramę dawnego Raciborza. Czy to na pewno prawdziwy obraz, czy tylko domniemany? Historia ciągle osnuta mgłą tajemniczości, okryta pancierzem niewiedzy, w którym jak kornik drążący drzewo próbujemy kanalikami dostać się do wnętrza, by poznać wszystko „od środka”, sedno sprawy. Chciałoby się powtórzyć za księdzem Janem Twardowskim: „Nie bądź pewien, bo pewność niepewna”.

Pamięć ludzka zawodna i nawet to, co się przeżyło, trudno odtworzyć w szczegółach. Jednak wspominamy, przytaczamy słowa, wydarzenia, przesuwamy kadry życiowego filmu z przeszłości i współczesności, pamiętając, że historię tworzyli i zapisali swym życiem ludzie. „Obecne pokolenie jest tylko ogniwem rozwoju, produktem minionej epoki a przygotowującym kolejne generacje” – tak pisze we wstępie do książki: „Racibórz. Historia w nazwach ulic, pomnikach i tablicach pamiątkowych” Alojzy Nowara, historyk, wykładowca Studium Nauczycielskiego, założyciel Towarzystwa Miłośników Ziemi Raciborskiej. Gdyby tak kamienice potrafiły mówić, niejedną historię by nam opowiedziały: kto fundamenty kopał, kto kamień na drodze położył, ilu ludzi tędy przeszło, przejechało, bogaci czy biedni, uśmiechnięci, czy łzy roniący, Polacy, Morawianie, Niemcy. Znani i nieznani bohaterowie tu żyli, przeżywali swoje dni radości i tragedie, klęski i zwycięstwa wznosili budowle, zakładali szkoły, tańczyli, śpiewali, weselili się i smucili, walczyli o to, co

wydawało się im wtedy słuszne. Zmieniały się rządy, polityka, a całe pokolenia wierne tradycjom i mowie przodków przez wieki trwały na tej ziemi, bo ją pokochały.

Język polski na terenie Raciborszczyzny przetrwał dzięki takim zwykłym ludziom. Oni zachowali go w domu rodzinnym, prześpiewali, „przegodali” i przekazywali z pokolenia na pokolenie. Czyż to niewielkie wydarzenie historyczne?

Był piękny październikowy dzień. Słoneczko mocno przygrzewało i swoją złocistą szatę rozpostarło nad całą okolicą, ale jesień wkraczała już ze swoją paletą barw do lasów i ogrodów. Drzewa okrywały jeszcze liście o soczystej zieleni, gdzieniegdzie obramowane złotą obwódką. Wśród konarów koncertowały ptaki. W taki pogodny jesienny czas udaliśmy się z młodzieżą na wycieczkę „spacerkiem po Raciborzu”. W parku na alejkach pod stopami szeleściły pierwsze opadłe liście, na skwerkach obok bujnych trawników kwitły aksamitki i różnokolorowe begonie.

Ważny dla nas dzień. Wędrowaliśmy „śladami polskości” naszego powiatowego miasta. Pierwszym punktem naszego postoju był ZAMEK PIASTOWSKI. Trudno byłoby ominąć ten obiekt. Przecież to tu mieli siedzibę książęta raciborscy z rodu Piastów, z którego wywodzili się pierwsi władcy Polski, a Mieszko Płatonogi, książę raciborski był nawet pretendentem do tronu krakowskiego. A skąd wzięła się głowa Tatara na zamku? I zaraz snuje się opowieść o legendarnym obrońcy zamku, ówczesnym patriocie, Bartku Lasocie, który podczas nieobecności Mieszka Otyłego stawiał czoło hordzie tatarskiej, zabijając samego wodza, którego głowę zatknięto nad bramą zamkową. Z tego też okresu, jak uważają historycy, pochodzi najstarsze zdanie napisane po polsku: *gorze szą nam stało*. Miał je wypowiedzieć Henryk Pobożny tuż przed śmiercią na wieść o wycofującym się hufcu Mieszka Otyłego, który to błędnie odebrał zawołanie wroga. Zapisał je przeor raciborskiego konwentu dominikańskiego Wincenty z Kielczy, autor hymnu „Gaude Mater Polonia, który owe zdanie usłyszał od uczestnika wojny z Tatarami a zarazem świadka śmierci Henryka Pobożnego Jana Iwanowica.

Zatrzymaliśmy się na chwilę przy ul. J. Słowackiego przed Szkołą Podstawową nr15, bo tu prawdopodobnie stacjonował król Jan III Sobieski, podążając na odsiecz Wiednia. Król polski był gorąco witany przez mieszczan Raciborza, który wtedy nie należał do Polski, ale w większości zamieszkały był przez Polaków.

- A ja słyszałem, że na trasie, gdzie przejeżdżał król, wszędzie sadzono lipy! – wyrwał się jeden z chłopców – Dziadek nawet taki wiersz mi czytał, w którym było coś o królu Sobieskim:

„ Jestem śląskie dziecko,

nie na próżno żyłem,  
o królu Sobieskim  
za młodu się uczyłem”.

Wyjaśniłam, że to wiersz Juliusza Ligonia.

O tym, jak przyjmowano orszak króla polskiego na Śląsku, mówi obserwator wyprawy Francuz d’Alerac: „Żaden monarcha nie spotkał się z tak jaskrawymi wyrazami hołdu ze strony ludności państwa obcego jak król polski ze strony poddanych cesarza”.

Zwiedziliśmy dom kultury „Strzecha”, gdzie tablica na frontowej ścianie głosi, że tu w latach 1911-1939 skupiało się polskie życie kulturalne. W holu znajduje się tablica pamiątkowa ku czci dr Józefa Rostka, na której czytamy: „Niestrudzony bojownik sprawy polskiej na Górnym Śląsku”. To on założył pierwsze Polsko-Górnośląskie Towarzystwo Śpiewacze w Raciborzu, a wolny czas poświęcał pracy społecznej.

Udaliśmy się na ulicę Chopina. Tam na jednym z budynków wmurowano tablicę z informacją, że tu w latach 1897-1919 mieściło się wydawnictwo polskiego czasopisma „Nowin Raciborskich” z księgarnią polską. Współzałożycielem „Nowin” był dr J. Rostek, a jego redaktorem J.K. Maćkowski.

Na końcu naszej wędrówki stanęliśmy pod pomnikiem Matki Polki. Pomnik –symbol! Dzieło artysty rzeźbiarza Jana Borowczaka, odsłonięty 14 lipca 1973 roku. Pomnik ku czci wszystkich matek, które pielęgnowały rodzime tradycje i przekazywały z pokolenia na pokolenie mowę i pieśń polską. Cóż to za dziwny pomnik? Kim była owa Matka Polka? Jak? Się nazywała? Gdzie mieszkała? W jakiej dzielnicy, na jakiej ulicy? Którą z nich wybrać za wzór? Z jakiego okresu? Czy ich życie miało wpływ na obraz miasta? A może ciągle potrzeba miastu, nam symbolicznych Matek –Polek - Raciborzanek w nowoczesnym wydaniu? Osłaniając oczy przed blaskiem słońca, spojrzałam w górę, a wtedy zdawało mi się, że twarz Matki Polki skierowana jest w stronę Starej Wsi. Czyż tam znalazłabym coś, kogoś ciekawego?

Eureka!

Spotkaliśmy się na konkursie gwary śląskiej w rozgłośni Polskiego Radia Katowice. Zbliżała się godzina przesłuchań. Rosło napięcie wśród uczestników, atmosfera się zagęszczała. Jedni jak przed klasówką powtarzali swoje gwarowe monologi, nowicjusze wypytywali o wszystko. W czasie przerwy zainteresowani różnorodnością odmian gwar śląskich jeden drugiego wypytywał, skąd przyjechał. Tuż za plecami usłyszałam:

- Weznam taszka i idam rain...

Zainteresowała mnie ta pani. Nie pytałam, skąd pochodzi, domyślałam się, że pochodzi z Raciborza lub pobliskich okolic, chociaż stroju ludowego nie nosiła (to znak rozpoznawczy dla regionu), bo podobnie mówiła koleżanka ze studiów pochodząca z Raciborza- Studziennej, która nieraz zapraszała nas do rodzinnego domu, a my mieszkanki domu studenta w piękną pogodę chętnie korzystałyśmy z dłuższego spaceru. To ona piękną gwarą raciborską, nie krępując się, niebaczna na uwagi wykładowców filologii polskiej, opowiadała różne ciekawe historie. W moich przypuszczeniach, co do pochodzenia uczestniczki konkursu utwierdził mnie wygłoszony przez nią monolog o kołoczku śląskim. Po przesłuchaniach z racji moich zainteresowań, jak i pochodzenia podeszłam do autorki tekstów weselnych:

- Przepraszam, pani tak pięknie mówiła, raczej godała o weselnym kołoczku czy jest to możliwe, żebym dostała ten tekst, bo u nas to trochę inaczej wyglądało. Po krótkiej wymianie zdań, bez bruderszaftu przeszłyśmy na „ty”.

- Ni ma sprawy. Bydziesz w Raciborzu, wstąp.

Podawała mi adres i tak rozstaliśmy się.

Od jakiegoś czasu pracowałam nad inscenizacją śląskiego wesela. Miałam już gotowy zarys scenariusza sztuki, dzięki przychylności młodzieży i mieszkańców dysponowałam sporym zasobem miejscowych pieśni, przyśpiewek, porzekadeł, ale wiele jeszcze było do zrobienia, a wtedy przypomniała mi się pani ze Starej Wsi i obiecany tekst o weselnym kołoczku. Nadarzyła się okazja, by ją odwiedzić. Miałam akurat zaplanowaną wizytę u laryngologa w przyszpitalnej przychodni na ul. Gamowskiej. Zdecydowałam: Jest to po drodze, z powrotem jedziemy ulicą Mariańską.

Tak jak postanowiłam, razem z towarzyszącym mi mężem zatrzymaliśmy się na ulicy Mariańskiej pod wskazanym adresem, by złożyć wizytę raciborzance. I tu zaskoczenie!

Żadnej kamienicy ani okazałego budynku, ale zwykły parterowy dom z dużym podwórkiem, licznymi zabudowaniami gospodarczymi, dziś przeznaczonymi na sprzęt mechaniczny i warsztaty. Jak każda Ślązaczka nie odprawiła nas na progu, lecz zaprosiła do domu praktycznie, ale gustownie i nowocześnie urządzonego, gdzie czekał słodki poczęstunek. Tekst o kołoczku czekał na stoliku na odbiorcę. Podziękowałam, a wtedy gospodyni zakomunikowała:

- Mam jeszcze coś, co cię na pewno zainteresuje.

Przeszliśmy do pokoju urządzonego w starym stylu. A tu...niespodzianka!

- To mom po szwigermutrze - oznajmiła.

Z szafy wyciągnęła przepiękny paradny strój raciborski panny młodej. Z zachwytu oniemiałam! Strój był tak zadbany, jakby panna młoda, co dopiero zdjęła go z siebie. Aksamitna mazelonka ułożona w fałdy, jakła z przodu ozdobiona haftem i do tego piękna lśniąca seledynowa zopaska. To nie był jedyny regionalny strój, jaki miała w kolekcji. W obramowaniu zaszkłone dotrwały dzisiejszych czasów: mirtowy wianek panny młodej i „woniaczka”. Zachowała ubiory „omy” i „opy”. Potrafiła o nich wszystko opowiedzieć.

Potem z szuflady wyciągnęła zeszyt z pożółkłymi kartkami, z kaligraficznym napisem na okładce: „Pieśni i pieśniczki”, informując:

- To od mojej matki i taty, albo jak wolisz od mamy i taty. Należeli do chóru przy „Strzesze”. Tam się poznali i razem śpiewali.
- Polskie pieśni, przecież Racibórz dopiero po II wojnie był polski?
- Grani i śpiewani to już w naszej rodzinie długo tradycja. Śpiewali i po polsku i po niemiecku. Trzeba byłoby się trochę cofnąć.

I zaczęła się rodzina, jak drzewo puszczone korzenie w ziemię, wrosła w historię Raciborza opowieść. Jak opowiadał jej dziadek, oni mieszkali tu od zawsze, oni i ich przodkowie i jak wszyscy na Starej Wsi mieli swoje gospodarstwo. Ziemia na Starej Wsi bardzo urodzajna, toteż uprawiano przede wszystkim warzywa: marchewkę, kapustę, sałatę... Zbiorów dokonywano i dwa razy w sezonie. Rolników z przedmieść Raciborza do dziś nazywa się „szałociarzami” i „kapuściorzami”. Posiadali swój zaprzęg, wozy, wszystkie narzędzia potrzebne do uprawy roli. To oni zaopatrywali miasto i nie tylko w potrzebne produkty rolne. Ładowali „gemiza” na wozy i rozwozili do miejscowych placówek i najbliższych miast..

Dziadek był bardzo pracowity – „robotny”, znał się na wszystkim, dlatego nieraz wołali go do różnych robót, a to żeby rynsztunek postawić przed tynkowaniem, a to żeby coś z ciesielki zrobić. Często „formanioł”, jak trzeba było coś przywieźć do kościoła, a i sąsiadom pomóc.

Jak budowali kościół pw. św. Mikołaja, to po całych dniach go nie było w domu. Swoje pole obrabiał na „ukrodki”, bo albo z innymi robotnikami naradzali się u proboszcza ks. E. Breslera, albo jeździł po piasek i żwir ku „Matce Boskiej”, po cegły do cegielni, a i po drzewo do lasu księcia von Ratibor.

Jednego razu, jak jechali z załadunkiem drzewa, zdarzyło się nieszczęście. Wóz wjechał do koleiny i konie nie mogły ruszyć z miejsca. Wtedy woźnica chciał pomóc koniom, poszedł do tyłu wozu, zaparł się, zaczął pchać z całej siły, a wtedy kłoda drzewa obsunęła się i spadając, na szczęście w nieszczęściu, tylko końcówką zmiażdżyła palce stopy. Ale

mieliśmy doktora Józefa Rostka! On zawsze pomógł, bo to był nasz człowiek, rozumiał „nasza godka”. Nie czekał na zapłatę. Ciągłe opowiada się o tym, jak na przednówku zachorowała najmłodsza siostra dziadka, zaczęła się dusić, pieniędzy brakowało na lekarza i lekarstwa. Z pomocą przyszedł dr Rostek. Zbadał chorą, podał łyżkę przefiltrowanej nafty (petroneli) i przyniósł lekarstwa, nie biorąc nic za wizytę. Gdyby nie on dziewczynę odwiedzalibyśmy na cmentarzu.

Z dr. Rostkiem bliżej dziadek zapoznał się przy zakładaniu spółki budowlanej „Strzecha”. Jego nazwisko - przerywając opowieść, wtrąciłam - znalazłam pod odezwą z października 1909 roku, kiedy przeglądałam opracowania historyczne dotyczące Raciborza. Chodziło wtedy o wybudowanie sali, gdzie mogliby się spotykać polscy katolicy. Tam m.in. napisano: „Kto Polak i katolik niech każdy dorzuci cegiełkę do zbożnego dzieła, a wnet doczekamy się – ludzie bezdomni – własnego dachu nad głową”.

- Tak. Nieroz opa spotykał się z dr. Rostkiem, ale polityka go nie wciągała, a to, co mu leżało na sercu. Rod czytał „Nowiny Raciborskie”, najbardziej rod miał pieśniczki polski. Jak yno, jako usłyszał, zaraz szkryfł słowa w specjalnym hefcie, a melodia próbował na organkach. Kupował też zbiory pieśni. Nieprowda, że wszystko wtedy było po niemiecku. Do kościoła św. Mikołaja chodzili i Niemcy i Poloki.

Słuchając, przywołałam z pamięci słowa ks. Emila Szramka: „Kościół posiada wielką umiejętność godzenia wielu kontrastów, ras, kultur, narodowości, warstw społecznych. Wszystkich traktuje, jako równouprawnione dzieci Boże”.

Lecz ona dalej opowiadała.

- Ksiądz Carl Ulitzka odprawiał sumy i głosił kozania po polsku, a moja oma należała do założonego przez księdza Stowarzyszenia Matek Polskich – Polnischer Mutterverein. Książeczki do nabożeństwa drukowane były po niemiecku i po polsku.

Znów jej przerwałam:

- Wyczytałam w „Dziejach Raciborza”, że już w 1884 roku ks. Wilhelm Strzybny, dziekan dekanatu raciborskiego na konferencji duchowieństwa górnośląskiego w Gliwicach poruszył sprawę konieczności używania języka polskiego na lekcjach religii. Wyżsi urzędnicy niemieccy uczyli się języka polskiego, by lepiej porozumieć się z miejscową ludnością. Nadprezydent wyższego sądu krajowego dla Górnego Śląska baron Hans Karl Erdmann von Manteuffel pobierał lekcje języka polskiego u ks. Bernarda Weissera w winiarni piwnicy ratuszowej, liczba zainteresowanych lekcjami rosła, a spotkania stały się tradycją.

Lecz ona niezrażona moimi przysłowiowymi „pięcioma groszami”, wyciągnęła z szuflady pięknie oprawioną „Drogę do nieba” wydrukowaną w 1912 roku przez drukarnię Mayera.

Z dalszej rozmowy dowiedziałam się, że dziadek miał w realizacji swoich zamiłowań wsparcie u babci. Kiedy on gnał do „Strzechy”, bo tu koncentrowało się polskie życie kulturalne, ona niańcząc dzieci, uczyła je prostych śląskich rymowanek:

„Hop, hop, Bartoniu, kaj to jedziesz na koniu”

lub modlitewek:

„Do ciebie Boże, rączki podnoszę, o zdrowie mamy i taty proszę”.

Kiedy grał na organkach lub „cyji” wspólnie śpiewali, przecież należeli do chóru.

W starszym wieku wspominali minione młode lata, kiedy to po próbach chóru nawzajem się odprowadzali. Czasem zatrzymywali się na krótkie pogawędki na rynku, a w majowe ciepłe wieczory, by zaśpiewać Matce Boskiej: „Chwalcie łąki umajone”. Spacerkiem przemierzali Wilhelmstraße - ul. Batorego, upajając się zapachem czekolady dolatującym z fabryki czekolady Sobotzicka. Odprowadzali na dworzec kolejowy pozamiejscowych członków zespołu, mijając okazały budynek poczty. Wracając, kierowali się w stronę rynku. Po drodze mogli pogłaskać J. Eichendorfa (pomnik), pomarzyć ...i przenieść się w baśniowe krainy, gdzie wszystko może się zdarzyć. Na rynku, kiedy napaśli oczy widokiem pięknych kamieniczek z bogatą ornamentyką, wstępowali do kościoła farnego, by zmówić, chociaż krótki paciorek, a potem kierowali się do domu i czekali na następne spotkanie w „Strzesze”.

Ten budynek posiadał w sobie jakąś magię. Dla Polaków był Domem Polskim. Tu skupiało się życie kulturalne Polaków. A jak powiedział Arka Bożek : „Polacy to nie byle, co...”. W „Strzesze” można było pośpiewać, potańczyć, posłuchać recytacji pięknych utworów, obejrzeć występy teatralne. Tu przyjeżdżały zespoły teatralne, muzyczne, chóry, artyści z różnych okolic, nawet z Bytomia. W okresie plebiscytu w „Strzesze” mieścił się Komisariat Plebiscytowy.

- Ach – westchnęła – moja rozmówczyni - polityka opy nie interesowała. A jednak zaczęli się na niego „orgesze” w 1921 roku. Sąsiedzi go ostrzegli i na czas uciekł z domu i ukrył się w pobliskim domu... Niemca. Tam go nie szukali. A my tu fort do ”Strzechy lotali. Tata i mama tyż w chórze śpiywali, a jak przyszła ta pierzińsko wojna...

Ojciec musiał służyć w Wermachcie. Jak poszedł na front zabrał ze sobą organki. Wiosną, kiedy słońko uśmiechało się do ziemi, śniegi roztajały, ozimina zaczęła się zielenić, pierwsze kwiatki nieśmiało rozchyłały główki, ciepły powiew wiatru niósł zapach rozwijających się kotków na wierzbie i śpiew skowronka, myśli jego jak po drucie

telefonicznym biegiem na Starą Wieś. Czy „gymiza” posiana w „izbetach”, czy może już wypuszcza listki, a maty słomiane trzeba zdjąć? Czy uprzęż nieporwana, czy pługi nie zardzewiały? Tęskniąc za żoną, domem, przywoływał obraz dymu wydobywającego się z komina, zapach odgrzewanych ziemniaków, widok zsiadłego mleka. Kiedy do koszar dochodziły odgłosy wystrzałów i wybuchu bomb, wyciągał z plecaka organki i grał klawiaturą:

„Ojcowski dom to istny raj, dom Ojca Niebieskiego,  
choćbyś przeszedł cały świat, nie znajdziesz piękniejszego”.

Kiedy kamraci, towarzysze tułaczki wojennej go upominaliby im nie przysparzał smutku, bo już troszkę mają na froncie, wygrywał wesołe, skoczne czasem rubaszne piosenki:

„Pije Kuba, do Jakuba Jakub do Michała”

albo: „Wele Raciborza miasteczka...”

Ojciec dostał się do niewoli. Już mu nawet pogrzeb urządzili z pustą trumną, bo uznali go za zmarłego. A on w niewoli, pracując ciężko w rosyjskich kopalniach, zachorował i trafił do szpitala, skąd w skrajnym wycieńczeniu został przewieziony do Niemiec. Przeżył. A może to modlitwy matki sprawiły, że Opatrzność Boża nad nim czuwała i ocalał z tego piekła wojny. Chociaż mógł tam na Zachodzie zostać, on wracał do tego skrawka ojcowskiej ziemi. Ziemia wyciągnęła z niego resztki niemocy. Kiedy zobaczył zielone główki sałaty posadzone w równych rzędach jak żołnierze stojący na placu zbiórki do apelu, poczuł zapach czarnej, wilgotnej ziemi, zapomniał o koszmarze wojny. Znowy był między swoimi. Na pierwszy spacer udał się pod „Strzechę”. Serce mu się krajało z bólu na jej powojenny widok. Zniszczenia, jakich dokonała wojna były ogromne. Miasto w 85% w gruzach. Można by go porównać do Jerozolimy zniszczonej przez Rzymian, gdzie kamień nie pozostał na kamieniu.

Gospodarstwo zniszczone w czasie wojny, podatki trzeba było zapłacić. Wojna i porządek, który po niej nastąpił, zburzyły dotychczasowy system wartości. Ojciec się nie poddawał, jako wyuczony rzeźnik, podjął pracę w miejskiej rzeźni, ale nie zaniechał pracy na swojej ziemi, ziemi, która o każdej porze roku pachniała inaczej. Jak tylko czas pozwalał kręcił się przy „Strzesze”, pomagając przy usuwaniu gruzu i różnych pracach. Mimo ciężkich czasów dołączył się do symbolicznej „cegiełki” na rzecz odbudowy domu kultury, kierując się powiedzeniem: „masa – robi kasa”.

Odremonowana po wojnie „Strzecha” znowy otworzyła swoje podwoje dla wszystkich, którym bliski był rozwój miasta i kultura: starych bywalców i młodych. Z nią związali się i ci, którzy mieszkali tu od pokoleń i ci, którzy tu przybyli z innych zakątków ziemi, mieszkali tu na krótko lub dłużej, zapuszczając korzenie: „pnioki”, „ptoki” i „krzoki”. Pokochali ziemię raciborską, jej tradycje, pieśni i „godka”. Nieważne skąd przybyłeś, ale jaki jesteś. Czy twój



dzień, rok, lata zapisały się w historii miasta? O mieście „Nasz Racibórz” mówią ci, co tu mieszkają i ci, którzy wyjechali za granicę, przechowując w pamięci miejsca, wydarzenia.

„Strzecha” jak kiedyś jest ośrodkiem kulturalnym w mieście i nadal odgrywa ważną rolę w podtrzymywaniu regionalnych tradycji, jak niejeden z mieszkańców Starej Wsi żyjący tu od pokoleń. Chciałoby się o nich powiedzieć, powtarzając za K. Kutzem: „sól ziemi czarnej”. Oni mogą opowiedzieć o dawnych strojach, pracach, demonstrując wypiek raciborskiego kołocza”.

Który rok, jaką datę uwzględnić, która miała wpływ na zachowanie tradycji i kultury Raciborza i przetrwanie „języka serca”. Czy założenie „Nowin Raciborskich? Czy okres plebiscytu, kiedy wzrosły wydawnictwa polskich czasopism?

Nie możemy dopuścić do tego, by rodzima kultura, język, tradycje zostały zdławione przez nowoczesne trendy. Niech osiągnięcia techniki, nauki służą popularyzacji i utrwalaniu dóbr kulturalnych, bogatej tradycji śląskich naszej małej ojczyzny – NASZEGO RACIBORZA.

Godło Ślązak